Janina Łagoda

Nie budzi wątpliwości, że podstawowym obowiązkiem wybrańców ludu jest stanowienie prawa, a więc definiowanie zasad funkcjonowania instytucji państwa z przełożeniem na mający postępować komfort życia obywateli. Ta prosta konstatacja w praktycznym przekładzie okazuje się skomplikowaną materią, bo wymaga zarówno intelektualnych predyspozycji, merytorycznej wiedzy, ale nade wszystko empatii, a z tym wielu posłów ma kłopot. Takie były, są i będą oczekiwania wyborców, zaś sprzeniewierzanie się im kosztami obradza. Prawdą jest też i to, że elektorscy mężowie posiadają szerokie uprawnienia pozwalające własnym sumptem weryfikować oraz korygować praktyczne efekty swojej ustawodawczej roboty. A tam, gdzie się kończą techniczne kontrolne możliwości parlamentarzystów, swoją skuteczność winny, niemal w automatycznym trybie, objawiać specjalistyczne rewizyjne agendy (NIK, prokuratura, policja, branżowe instytucje nadzorcze, mnożące się służby specjalne etc.). Najprostsze to perpetuum mobile sprawowania poselskich powinności. Wydaje się, że w tej retrospekcji zwietrzałym balsamem mającym uśmierzyć rozterki społeczeństwa jest powoływanie widowiskowych, amatorszczyzną przemokłych sejmowych komisji śledczych z przeświadczeniem, że ich ustalenia wyjawią prawdę i tylko prawdę. Intencje może i słuszne, ale dotychczasowe wytwory ich pracy w poprawianiu dobrostanu państwa nie napawają optymizmem, obfitują zaś wzajemnymi partyjnymi niegodziwościami.

Polityczne kalkulacje

Bez ogródek można rzec, że nad metodyką powoływania parlamentarnych komisji śledczych, ale i nad ich późniejszymi pracami unosi się polityczny smog. Inaczej być nie może, bo wprawdzie z jednej strony parlament w swoich szlachetnych intencjach realizuje wolę wyborców, lecz w praktycznym wymiarze staje się areną gmatwaniny partyjnych kalkulacji, które często kolidują ze społecznymi oczekiwaniami. Nie sposób też pominąć merkantylnych interesów poszczególnych posłów, w tym upatrywanie zadatków do atrakcyjniejszych stanowisk, ale także i na ewentualną reelekcję, bo sejmowanie dla wielu z nich to jedyna profesja, jaką rzekomo potrafią sprawować, a z nią splecione niepoślednie finanse. Kokietowanie wyborców przyćmiewa interes państwa. Rozbieżności wiele, a niwelacyjnych instrumentów niedostatek.
W odległości od krytycznych refleksji mnożą się propozycje powoływania komisji śledczych, jako panaceum na trapiące zło, co z odwrotnej strony urealnia tezę o nienajlepszej jakości stanowionego prawa i bezradności służb państwa czuwających nad jego przestrzeganiem. Interesujące jest to, że za takimi rozwiązaniami optują również ci posłowie, którzy wcześniej, także w poprzednich kadencjach, uczestniczyli w tworzeniu prawa dzisiaj generującego problemy. Komisje siłą rzeczy zajmują się badaniem skutków dawnej nieroztropności, czyli historią. Ich członkowie zaś doznają olśnienia i się wcielają naraz w rolę prokuratora i sędziego. Niekiedy też uzurpują sobie kompetencje władzy wykonawczej wydając nakazowe decyzje, jak przykładowo w sprawach warszawskich kamienic, co później i tak musi weryfikować sąd. W prostym odczycie jest to rujnowanie trójpodziału władzy w parlamentarnej edycji, a to fatalne znaki dla polskiej demokracji.

Dotychczasowa polityczność parlamentarnych śledczych gremiów przeraża. Poza smutnymi, ale widowiskowymi spektaklami pożytek z tego niewielki, albo żaden. W zaściankowych partyjnych wojnach przegraną jest Rzeczpospolita, a na domiar, to jej obywatele ponoszą materialne koszty prac owych nadzwyczajnych gremiów. Posłowie miast intensywnie pracować nad stanowieniem prawa, angażują się w medialne inscenizacje, usiłując na oczach gawiedzi naprawiać prawo, które wcześniej sami albo ich poprzednicy zranili. Dzisiaj w stańczykowskiej pozie rozdzierają szaty nad własnymi błędami i o paradoksie, winnych szukają hen daleko od siebie.
Batalie toczone o powoływanie komisji są namoknięte politykierstwem. O ich ustanowieniu decyduje nie imperatyw uzdrowienia niedomagającego segmentu państwa, lecz kalkulacje zysków i strat większości parlamentarnej. Zatem skład personalny osób zasiadających przy śledczo – sądowniczym stole, jak i badawczy czasokres pozostaje w symbiozie z partyjnymi interesami. Wierność ideałom partii rozgrzesza wszelakie niekompetencje tych inkwizycyjnych ciał. Znaczy to tyle, że dochodzeniowe zespoły są wyłącznie wartościami samymi w sobie i to bez względu na intelektualny poziom i praktyczne umiejętności nominatów. Zatem ustalenia muszą być zwyczajnie adekwatne do oczekiwań promotorów. Innej drogi nie ma.
O użyteczności wszelakich wniosków przez nich formułowanych także decyduje nie tyle merytoryczna wartość, co wyrafinowane podnoszenie rąk z partyjnymi odciągami.
Wielu zasiadającym w śledczych fotelach wydaje się, że legitymacja poselska jest równa zstąpieniu nadzwyczajnych mocy w dochodzeniu do prawdy. I o zgrozo wiara w taką wersję mesjanizmu na trwałe, bez cienia refleksji, zagościła w umysłach wielu deputowanych. Sędzia, prokurator, adwokat etc., aby móc uczestniczyć w orzekaniu o winie i karze ma za sobą lata nauki i praktyki, a i też niekiedy błądzi. Jest to sztuka, którą codziennie trzeba doskonalić. Okazuje się jednak, aby pełnić takie funkcje w polskim parlamencie wystarcza partyjna lojalność, a to już bliskie ludowemu modelowi sprawiedliwości. Symptomatyczne jest to, że pełnomocnikami świadków przesłuchiwanych przez komisje muszą być osoby z cenzusem adwokata lub radcy prawnego, zaś tym z ławy przesłuchujących wystarczy m.in. zawód teatralnego charakteryzatora z poselskim immunitetem bezkarności. Na szczęście wielu wyborców dostrzega ten absurd i wystawia stosowne noty, jak chociażby wobec trzech przewodniczących aktualnie pracujących komisji śledczych, którzy w ostatnich wyborach samorządowych usiłowali zostać prezydentami miast (Warszawa, Kraków, Gdynia), ale doznali tęgich porażek. Znaczy to, że obywatelska czujność i racjonalizm w ocenach pracy parlamentarzystów mają się dobrze.

Probierze stanowienia komisji

Krytycyzm wobec sposobu kreowania parlamentarnych komisji śledczych prowokują miałkie merytoryczne efekty ich pracy. Tę refleksję gruntuje spory materiał empiryczny autorstwa około dziesięciu parlamentarnych dochodzeniowych zespołów, jakie funkcjonowały w III RP. Trzy z nich jeszcze nie zakończyły prac.
Sceptycyzm co do skuteczności pracy komisji może złagodziłoby to, że będą powoływane tylko wówczas, kiedy rządzących ogarnie bezradność wobec możliwości wyjaśnienia aberracji własnego autorstwa. Dotąd tylko jedna z nich spełniła ten wymóg. Była to komisja śledcza do zbadania zarzutu korupcji podczas prac nad nowelizacją ustawy o radiofonii i telewizji, zwana rywinowską (10.1.2003 – 5.4.2004). Działo się to podczas sprawowania rządów przez koalicję SLD-PSL. Jak dotąd, tylko ówczesny rząd zdobył się na publiczne dochodzenie do sedna

sprawy, która go wprost dotyczyła. Ale i ta komisja nie odpowiedziała na najważniejsze pytanie: czy istniała nieformalna grupa trzymająca władzę? Mimo tego rządzący ponieśli srogie konsekwencje polityczne. Dzisiaj pojawiła się analogiczna sytuacja o bardziej skandalicznym i wyraziście kryminalnym posmaku. Tym razem z otwartą propozycją korupcyjną wobec przedsiębiorcy wystąpiła nie osoba prywatna, lecz prezes Komisji Nadzoru Finansowego, a więc szef państwowej instytucji nader ważnej w systemie dbałości o bankową solidność, także w międzynarodowych konotacjach. Niesłychana sprawa, aby osoba, której aktualnie rządzący zaufali w tworzeniu m.in. antykorupcyjnych barier i chronienia państwa przed innymi plagami, jakie mogą się pojawić w obrocie pieniężnym, sama wstąpiła na przestępczą ścieżkę. Wątpliwości wiele, jak chociażby ta najważniejsza, czy, aby na pewno był to autonomiczny wymysł urzędowo podejrzanego i aresztowanego? W obecnym centralistycznym układzie zarządzania państwem, w którym m.in. prokuratorskie i inne śledcze agendy są objęte partyjną kontrolą, nie sposób dostrzec wątpliwości co do realnych przesłanek rzetelnego wyjaśnienia tej sprawy. Odwrotnie, już w tej chwili widoczne są ruchy zastępcze, mające odwrócić uwagę społeczeństwa od istoty sprawy i sprokurować ją na sloganowo wyświechtane pomówienia o winie poprzedniego rządu. Symptomatyczna jest wypowiedź prezesa NBP, że jego protegowany niebawem wyjdzie na wolność. Albo to tajemna wiedza powzięta z toczącego się śledztwa, albo chęć wywarcia presji na prokuraturę, a może i sąd o łagodne potraktowanie protegowanego. Zabieg trywialny z cieniem premedytacji.
W demokracji to straszna rzecz. Walory uczciwości są złotem, ale mogą też okazać się tombakiem, co nie jest unikatem w rządach prawej i sprawiedliwej formacji.
Może tym razem władza skłoni się ku próbie publicznego objaśnienia społeczeństwu tego dramatu w transparentnej parlamentarnej formule komisji śledczej. Wiarygodność takiego zespołu zapewne wzmocniłoby powołanie w jej skład ekspertów z prawem głosu równym poselskiemu, co wcale nie musi być utopią. Potrzebna byłaby jedynie korekta instrukcji obsługi politycznego przycisku zainstalowanego na warszawskiej Nowogrodzkiej. Czyni się tam jednak wiele, aby tego zdarzenia nie oceniać na oczach suwerena, bo urna wyborcza tuż. Ale czy propagandowymi łamańcami uda się zniewolić rzeczywistość? Jeśli nawet infantylny manewr chwilowo się powiedzie, to fakty temu i tak się oprą. One są w swej materii nieskończenie niezmienne. Nawet nie dają się wyprosić z jakiegokolwiek poufnego partyjnego konwentyklu. Taka ich natura, a szacunek do nich, to jedyna miara uczciwości w sprawowaniu rządów. Natomiast interpretacyjna żonglerka nimi wróży burzę na partyjnym nieboskłonie. Dzisiejsza władza ma na ten temat odrębne zdanie wyłuszczane w publicznych prezesowskich, prezydenckich i premierowskich ekspiacjach, gdzie prawda jest nadwyrężana. Uczciwość nakazuje, aby pozorów nie utożsamiać z rozwiązaniem problemu, który uwiera, bo bliskie to skutkom nieumiejętnego hamowania na politycznej ślizgawicy.
Komisje śledcze są raczej wyrazem braku zaufania do instytucji państwa, niż przejawem zatroskania zgłębieniem prawdy i to przy otwartej kurtynie. Stanowią, jak dotąd, uosobienie daremnego trudu, posiłkując się myślą Adama Asnyka (1838-1897), ale prokurowanie surrealistycznych sytuacji, to poniekąd specjalność rządzących.

Sejmowe osądzanie

Moda na polityczne parlamentarne komisje śledcze ma się dobrze. Fatalnie to rokuje solidności w stanowieniu prawa, bowiem wyłącza wielu posłów z partycypowania w ich konstytutywnym posłannictwie. W tej chwili (VIII kadencja Sejmu III RP) ponad 30. deputowanych w trzech

komisjach śledczych zamartwia się tym, jak najlepiej prezentować się przed kamerami w sejmowej sali rozpraw, a nie pochylać się nad tworzeniem solidnych aktów normatywnych, takich, które później nie wymagałyby aż tak spektakularnych form wyjaśniania przyczyn błędów popełnionych przez mandatariuszy. To, że dzisiaj państwo musi się mierzyć z właścicielskimi problemami warszawskich nieruchomości, vatowską luką czy nieczystymi zasadami funkcjonowania finansowego tworu pt. Amber Gold, powinno być też wyrzutem sumienia tych, którzy kreowaniem prawa przyczynili się do zaistnienia szkodliwych zawiłości. Równie dobrze mogli im zapobiec. W tych okolicznościach żenuje zakładanie pokutnych ornatów i obwinianie innych, tylko po to, aby skrywać swój udział w ustawodawczych niedoskonałościach. Prawdą jest też i to, że paragraf nawet zgodny z legislatorską sztuką, nie wyeliminuje ludzkich słabości, co najwyżej może je powściągać, ucywilizować, neutralizować… Taka to syntetyczna miara poselskiej solidności nie zawsze sprzężonej z racjami Rzeczpospolitej, ale z korporacyjnymi interesami, to i owszem.

Instytucja komisji śledczej ma umocowanie w porządku prawnym RP (art. 111 Konstytucji). Szczegóły jej funkcjonowania precyzuje ustawa z dnia 21 stycznia 1999 roku o sejmowej komisji śledczej, będąca skrótową kompilacją reguł obowiązujących w postępowaniu prokuratorskim i przed sądami. Jest to poniekąd dublowanie bądź wyręczanie w amatorskiej formule przez sejmowych wybrańców, wyspecjalizowanych instytucji państwa. Dzielenie poselskich ław z siedziskami przy sejmowym stole sprawiedliwości jest bliskie stanu osobowości mnogiej, czyli rozdwojeniu jaźni. Z jednej strony stanowienie prawa, a po chwili odkrywanie skutków jego ułomności i poszukiwanie winnych, że wykorzystali ustawodawcze poselskie błędy. Kontrast szokuje. Ten skrót sejmowych powinności, a raczej ich ignorowanie jest zwyczajną obrazą dla wyspecjalizowanych agend państwa, także przez parlament ustanowionych, aby w fachowym stylu wyjaśniać i prostować krzywizny ewentualnych nieuczciwości. Być może, że i w tych instytucjach zagościła polityczność, a jeśli tak, to rządzący stanęli na progu dotąd nierozwiązanej kwadratury koła, tj. znalezienia formuły wpisania wyborczych obietnic w literalność ich spełnienia.

Podjęcie sejmowego śledztwa wymaga identyfikacji i indywidualizacji problemu prawnego, który taką potrzebę zrodził. Sprawa niełatwa, bo nad logiką często ciąży ideologiczne łaknienie. Dla politykierów żaden to problem, i nie bacząc na realia wymyślają kolejne śledztwa. To przygnębia, bo kłóci się z elementarzem parlamentarnych powinności posła, tj. udziału w stanowieniu solidnego prawa z poszanowaniem legislatorskiej sztuki bez bicia sprinterskich czasowych rekordów uchwalania ustaw, jak to się ostatnio często przytrafia. Przyjęcie w ciągu niespełna czterech godzin (21.11.2018 r.) siódmej noweli do prezydenckiej ustawy o Sądzie Najwyższymi, wplatającej się w karczemny spór z Komisją Europejską oraz Trybunałem Sprawiedliwości UE jest trudnym do racjonalnego wytłumaczenia powodem tak histerycznych zachowań. Niepojęta jest zaś zwłoka prezydenta RP w jej podpisaniu (17.12.2018 r.) i opublikowaniu (31.12.2018 r.).To swoiste kuriozum, bo przecież posłowie i eksperci mogli wykorzystać ten czas do uściślenia kształtu zapisów ustawy, która precyzją nie szokuje. W podobnym galopie, tj. w ciągu niespełna doby (28.12.2018 r.) przyjęto ustawę stabilizującą ceny prądu dla odbiorców, ale tylko do końca 2019 roku, przy jednoczesnym zrekompensowaniu spółkom energetycznym strat z tego tytułu. Ten parlamentarny produkt skrywa bezkres wątpliwości, a tym razem prezydent RP w błyskawicznym trybie nie tylko złożył podpis pod ustawą wątpliwej jakości (niedziela, 30.12.2018 r.), ale i nakazał jej opublikowanie w tym samym dniu. A tak na marginesie, to jego celebrycki pisarski gest trwał chyba dłużej niż 30 sekund wyznaczonych przez marszałka sejmu RP na zabranie głosu w tej sprawie przez

każdego z posłów. Bicie rekordów w biurokratycznej olimpiadzie zafundowanej sobie przez aktualnych władców trwoży. Problem w tym, że nie wiadomo w jakich kategoriach objaśniać tego rodzaju sportowo – naiwne osiągi: jako żart, lekceważenie wyborców reprezentowanych przez posłów, arogancję, butę, partyjną zawiść, czy wreszcie głupotę o wysokiej szkodliwości czynu. I w tym kontekście słuszny jest apel Komisji Europejskiej do obecnej władzy o zachowanie powściągliwości. Ważna to rzecz w drodze ku mocarstwowości, a taką wizję co rusz nam oznajmiają rodzimi politykierzy. Zuchwały, kosztowny i niebotycznie szkodliwy to balsam, nijak przystający do rzeczywistości. Dzieje RP od onegdaj obrastały bliskimi temu czynami oraz pustosłowiem, przemieniającym się najczęściej w stany odwrotne: niewolę, zabory, okupację, ograniczoną suwerenność etc., a później w darowanie nam przez innych utraconej państwowości. Przymiot skromności należy zatem darzyć szacunkiem i ostrożnie nim gospodarować.
W bliskim otoczeniu komisji śledczych pozostaje prezydencka interpretacje istoty tzw. postępowania zabezpieczającego, będącego elementarzem wiedzy jurystów, także polskich. Może to tylko efekt patriotycznej pracy urzędników jego kancelarii, którzy prześcigają się w wyszukiwaniu argumentów podbudowujących wybiórczy europejski sceptycyzm swego szefa, albo nieudolnie rozwijają jego myśli. Jeśli tak, to sporo w tym analogii do wejścia na trakt ku zgubie Rzeczpospolitej. Pycha, wyniosłość, wygłaszanie powierzchownych sądów na temat spraw, których się nie zgłębiło – tego dopełnieniem. Teoretycznie nie musimy występować z UE, ale kierowanie państwa na margines w jej obrębie jest z tym tożsame. Jeśli uzupełnimy to pozostawaniem w nieogarnionym konflikcie z granicznymi sąsiadami, no może poza niemym Bałtykiem, to współcześnie taki model autarkii wpisuje się w samobójczą koncepcję państwowości i utratę prestiżu w świecie. A przecież międzynarodowa współpraca to wartość dodana. Lubimy nawroty do niechlubnych czasów. Dzisiaj też sporo analogii do zachowań naszych politycznych elit sprzed zaborów i u schyłku lat 30. ubiegłego wieku. Wówczas buńczucznie oznajmiana wielkość nie sprostała oczekiwaniom możnych tego świata. Staliśmy się przedmiotem parcelacji z jej konsekwencjami dotąd postrzeganymi. Oby władcy nie zbliżyli czasu dzisiejszego ku tamtym dniom. Jest jeszcze pora na opamiętanie. Zachowujmy to, co dobre, a zło niech tonie, o co swego czasu apelował Stanisław Cat-Mackiewicz (1896-1966).
Setki posiedzeń z przesłuchaniami świadków, obrazoburcze wypominki mające podkreślić ważność śledczego parlamentarzysty, wykazywanie nicości podsądnego oraz jego pełnomocnika, wybiórcze uznawanie ekspertyz i opinii biegłych, tomy kserokopii przeróżnych dokumentów, wśród których tylko nieliczne kwity mają znaczenie w sprawie etc. Tak można naszkicować obraz prac sejmowych śledczych. Ponadto towarzyszy im tabun doradców, czasem przedziwnych, ale prawnie umocowanych i w jakiś sposób wynagradzanych, także perspektywą awansowych bonusów. Efekciarstwo trapiące co niektórych posłów przekracza komunikacyjną skrajnię przyzwoitości. Roztropność stała się frazesem. Warto w uniżeniu pochylić się nad sensem wszczynania kolejnych parlamentarnych śledztw, bo jeśli te sejmowe twory mają zastępować instytucjonalne organy ścigania, to rozsądek nakazuje, aby odesłać je do lamusa. W parlamencie jest dostatek branżowych komisji, podkomisji, zespołów etc., dla których nie tylko retrospekcja, ale dzień dzisiejszy i przyszłość winny stanowić interpretacyjną jedność, a nie okazję do objawiania arogancji topionej w partyjnej pomadzie.

* * *

Opór rządców wobec przejrzystości w administrowaniu państwem stał się normą. To także

fatum ciążące nad sejmowymi komisjami śledczymi. Zagościła hipokryzja. Uczciwość trafiła do rupieciarni, a losy państwa spoczęły w ręku partyjnego guru. Egoizm stępił wrażliwość nawet na spolegliwą krytykę. Dzisiejsza sytuacja kraju przypomina, może od niechcenia, niedawne rozwiązania, kiedy to wola partii była wolą ludu, co wówczas w hasłowym wydaniu wprawdzie brzmiało jednoznacznie, ale w praktyce miało miękki odzew. Powojenni władcy musieli wypełniać nakazy wschodniego protektora, chroniąc w ten sposób Polskę przed wcieleniem w radzieckie granice, co dla Wielkiej Trójki zapewne byłoby obojętne, bo zawsze bliżej jej było do Moskwy, niż Warszawy. Usiłowali zatem równoważyć szale jałtańskich postanowień z oczekiwaniami narodu, przecierając szlak ku wolności. Ale dzisiaj są zbiorowo napiętnowani pod zarzutem narodowej zdrady. Samolubność rządzących przytłoczyła rozumne pojmowanie ojczystych dziejów. Nadal brakuje odpowiedzi ze strony patriotów na pytanie: kto wówczas miał zarządzać polskim państwem, bo innego nie mieliśmy? Zmiana ustroju własnymi siłami w tamtych latach była utopią. Ramy poszerzania swobód mogły następować jedynie w zgodnym kontredansie obozu władzy z pozapartyjnymi wewnątrzsystemowymi obozami z uwzględnieniem geopolitycznych, w tym kremlowskich trendów. Na tę oczywistość, która dzisiaj ma już wiele potwierdzeń, wskazywał dawno temu m.in. prof. Andrzej Walicki (ur. w 1930 roku w Warszawie, filozof i historyk idei – Uniwersytet Notre Dame). Wówczas miast poszukiwać konsensusu wobec polskiej racji stanu, wykopano transzeje niezgody, które dotąd zawiścią procentują. Okrągły Stół wychodził temu naprzeciw, ale dzisiaj rządzący postponują jego ideę. Spór o Polskę trwa, ale to już inny temat.
Dostrzegalną naturą sejmowych śledztw jest nie łagodzenie obyczajów, lecz podsycanie jadowitych nastrojów. Obskurantyzm zawładnął umysłami posłów przyklejonych do blatu sejmowej sprawiedliwości. Trudno więc oczekiwać, aby ich werdykty były obojętne wobec woli promotorów. Nadal dźwięczą egoistyczne maksymy: kto z nami ten chwat, ale przecież nie chodzi o aforyzmy, lecz o pomyślne zarządzanie krajem i gruntowanie państwowości. Sejmowe zespoły śledcze niewiele dotąd objaśniły i nie sprostały pragmatyzmowi społecznych oczekiwań. Stały się tandetnym teatrum. Rozterki te sugerują, aby
w trybie sejmowego dochodzenia zbadać efekty dotychczasowych śledczych zespołów w przełożeniu na skuteczność naprawy Rzeczpospolitej. Jednostronna gra tylko na wewnętrzny elektorat bez poszukiwania kompromisów i międzynarodowych przyjaźni jest perspektywą zgubną dla RP. Bezradność rządzących przytłacza. W tej sytuacji ważkim orężem w ratowaniu Rzeczpospolitej pozostają kartki wyborcze z rozsądnymi skreśleniami.

Janina Łagoda